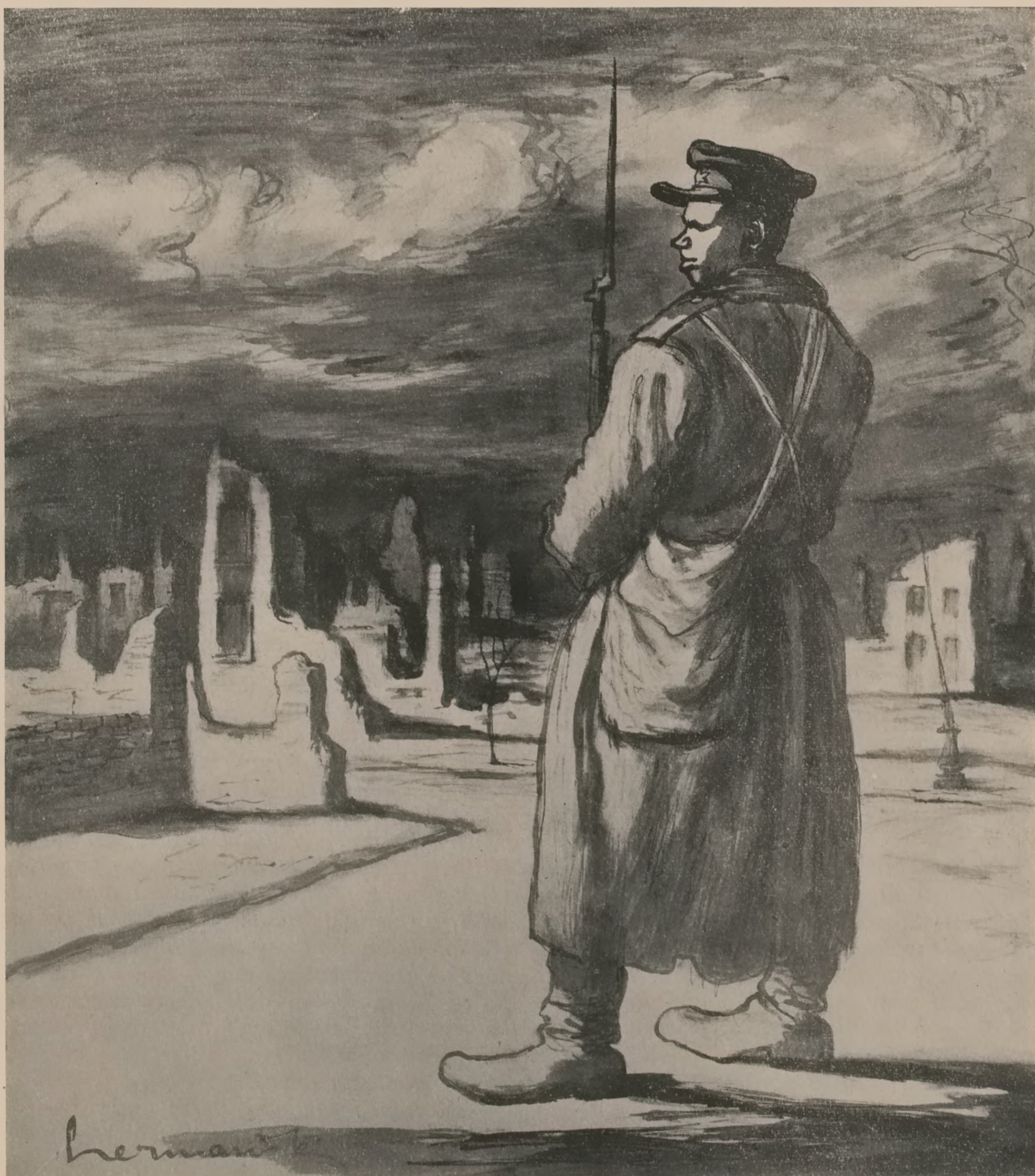
TYGODNIK POLSKI
THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE:
Aleksander Janta
Andrzej Stocker
August Zamoyski

Vol. 3. Nr. 9 (114) Nowy Jork, 4go marca — New York, 21, N. Y., March 4th, 1945. Cena 20 ct.

Rys. Z. Czermański

"L'ORDRE REGNE A VARSOVIE" (PORZĄDEK PANUJE W WARSZAWIE)



To zdanie wypowiedziane przez francuskiego ministra Sebastianiego po upadku powstania 1830 przeszło do historji jako symbol politycznego cynizmu. Oto obraz "porządku", który dziś po wejściu Moskali zapanował w Warszawie.

WSPÓŁWINNI NIECH MILCZĄ

Nieraz pisaliśmy na tych stronicach, że droga bezwzględnego oporu przeciw agresji rosyjskiej, którą rożni sceptycy, naturalni kandydaci na zdrajców, nazywają "maksymalizmem", droga, słowem, po której idzie teraz bez wahań legalny rząd polski, jest drogą w obecnych warunkach jedyną.

Spór polsko-rosyjski nie był nigdy i nie jest sporem o interpretację praw dających się różnie tłomaczyć, ani jedno z żądań rosyjskich nie było nigdy usprawiedliwione czy to historyczną czy to etnograficzną słusznością ani choćby życiowemi koniecznościami moskiewskiego państwa; nie jest to więc żaden spór tylko zwyczajna agresja, która tylko dzięki katastrofalnej polityce aljantów i bezradnemu podążaniu za nią pana Mikołajczyka stała się w świadomości świata grą jakichś sprzecznych ale obustronnie usprawiedliwionych żądań.

Rząd polski od pierwszej chwili, gdy spór ten zaistniał powinien był zrozumieć jaka jest jego istota i że innej polityki niż polityka bezwzględnego oporu względem żądań rosyjskich prowadzić się nie da, gdyż żądania te jak mówiliśmy ani historycznie ani etnograficznie, ani polityczne nieusprawiedliwione były niemoralne i przez to wszelkie z nimi pakty były powolnem wciąganiem się w tę sowiecką moralność która zatryumfowała w Jałcie.

Moralność tak w stosunkach ludzkich, jak też moralność i poczucie prawa w stosunkach międzynarodowych wspierają się na paru zasadach, od których nie może być żadnych ustępstw, bo w tej dziedzinie nie rozmiar ale jakość decyduje; kradzieżą jest nietylko zabranie komuś paru miljonów dolarów, ale również zabraniu pięciu; kto to rozumie, ten rozumie również że linja demarkacyjna zwana linją Mikołajczyka była już kapitulacją, że była nią dymisja dana niegodnie Sosnkowskiemu na żądanie Sowietów, a jeszcze wcześniej było nią milczenie w sprawie Katynia.

Jeżeli Anglicy i Amerykanie, choć nie powinni, ale przecież mogli mieć jakieś złudzenia co do istotnych celów polityki rosyjskiej względem Polski, to tych złudzeń nie wolno było mieć premjerowi Polski, która przez sto lat uczyła się na Sybirze i na stokach Cytadeli czem jest ta polityka i która w Katyniu i w obozach pracy sowieckich przekonała się, że przeszłość stosunków polsko rosyjskich była jeszcze rajem w porównaniu z tem, czem dzisiaj grozi Polsce wejście w sowiecką sferę wpływów.

Mówi się, że pan Mikołajczyk okazując cierpliwość bz granic w rokowaniach z Rosją i dochodząc w tem do poniżeń normalnie uważanych za niezgodne nietylko z honorem narodowym, ale poprostu ze zwykłą ludzka godnością dopomógł do zestawienia dossier polskiej dobrej woli, które w pewnej chwili pozwoli Anglikom i Amerykanom opowiedzieć się stanowczo za nami.

Gdyby takie były jedynie powody tych ustępstw, które p. Mikołajczyk czynił, tego haniebnego krępowania wolnej opinji, rozumiejącej grozę naszego położenia i pragnącej głośno wołać o krzywdzie polskiej to dzisiaj po Jałcie pan Mikołajczyk powinienby chyba zrozumieć, że niema już potrzeby kompletować owego przerażającego dossier i że na nic się już ono nie przyda.

Pan Mikołajczyk nie przyłączył się przecież do jednomyślnego głosu zarówno kraju, rządu jak i wojska, pojmujących że nic nam w tej chwili na emigracji nie zostało ważniejszego do czynienia, niż wołać, że dokonywuje się na nas zbrodnia nieznana w dziejach i odmawiać z tą zbrodnią wszelkich paktów.

Pan Mikołajczyk z niepojętym uporem rozpatruje w dalszym ciągu oddawna łatwy do przewidzenia rezultat swej polityki i szuka wszelkich sposobów, aby móc jeszcze rokować, jeszcze gdzieś jechać. Pan Mikołajczyk jak jego artykuły z "Jutra Polski" dowodzą nie rozumie absolutnie niczego z polityki ale wydaje mu się, że naprawdę Polska bez niego obyć się nie może dlatego że udało mu się to wmówić różnym lizusom-urzędnikom, poczem oni zkolei jemu to wmawiali i dlatego, że to samo wmawiali mu Anglicy, pragnąc jego rękami załatwić swoje sprawy i zrzucić na polskie sumienie odpowiedzialność za rozbiór Polski.

Pan Mikołajczyk pochłonięty jak cała jego kompanja jedyną tylko myślą, aby robić inaczej niż się robiło w Polsce przedwojennej z obawy popadnięcia w t. zw. "mocarstwowość" poszedł na politykę, która najłagodniej mówiąc była polityczną mikromanją i której jedynym celem było podporządkowanie postulatów polskich nie interesom Anglji nawet ale polityce angielskiej, nieraz już przedtem przecież wyrażającej się w takich formułach, jak sławne powiedzenie nieboszczyka Chamberlaina o Czechosłowacji: "jest to kraj daleki, o którym mało wiemy". Jeżeli p. Mikołajczyk człowiek prowincjonalny i dopiero uczący się polityki zagranicznej mógł ulegać przez jakś czas rozpowszechnionym w Polsce złudzeniom co do idealistycznego uniwersalizmu polityki angielskiej to premjer rządu polskiego powinien był pozbyć się tych złudzeń przynajmniej potem co Anglicy zrobili z generałem Michajłowiczem i powinien był nieugiętym obstawaniem przy wszystkich prawach polskch bronić sie od tak prawdopodobnych ze strony angielskiej rozczarowań.

Pan Mikołajczyk wtedy mógłby usprawiedliwić swą zupełną zależność od Anglików, gdyby miał na koncie tej zależności jakiekolwiek dla Polski plusy,

gdyby jego ciągłe ustępstwa względem pp. Churchilla i Edena odpłacane były jakimś angielskim poparciem dla Polski; ale przecież nawet p. Mikołajczyk nie może poważnie uważać za takie ustępstwa tego, że Anglicy pozwolili Polakom bić się pod Monte Cassino, ani tego, że pragną teraz aby p. Mikołajczyk dopuszczony był do rządu zdrajców Polski i agentów czerezwyczajki.

Rząd Arciszewskiego doszedł do władzy w ostatniej chwili przed zasadniczemi decyzjami w sprawie Polski po dokonaniu przez pana Mikołajczyka całej strasznej roboty zburzenia polskiego prestiżu, zmarnowania wkładu polskiego do wojny, uśpienia opinji światowej, postawienia się przez swe rozmowy na równi z komitetem lubelskim i pokwitowania Rosji z pomocy dla Warszawy w chwili gdy Warszawa ginęła na oczach zachwyconych tem marszałków sowieckch. Czas, który nowy rząd miał sobie zostawiony dla zmiany tej polityki i dla osiągnięcia możliwych tego rezultatów mógłby być wyzyskany tylko wówczas, gdyby nikt z odpowiedzialnych Polaków nie dopomógł obcej robocie, gdyby nasi aljanci byli przekonani, że spór między Polską a Rosją nie będzie mógł być przedstawiony jako spór między Polakami co więcej jako spór między dwoma kolejnemi premjerami Polski. Pan Mikołajczyk przez swe warcholskie i haniebne rozmowy za plecami rządu polskiego, przez nieprawdopodobne, godne Benesza żądanie, aby rozbiór Polski został mu narzucony nietylko sfałszował obraz, jakże imponujący, jedności polskiej, ale dał też panu Edenowi i Churchillowi nadzieję, że Polskę uda się oprawić tak samo jak Jugosławję. Pakt krymski, rozumiemy to doskonale, nie jest oczywiście tem, czego pragnał dla Polski nieszczęsny przywódca emigracji ludowcowej. Ale to on, to pan Mikołajczyk odebrał rządowi polskiemu jedyną szansę dokonania czegoś poważnego przed Jałtą, to on dopomógł do tego katastrofalnego dla Polski paktu; jest to już albo zła wola bez granic, albo bez granic ciemnota, jeżeli nie czuje swej winy i zwala ją niegodnie na innych.

Ci którzy sądzą, że w tej ciężkiej chwili nie mamy nic do stracenia i że wobec tego, do tego wszystkiego, co nam odebrano, możemy dołączyć jeszcze honor i przyszłość Polski — nietylko są dotknięci aberacją moralną ale też niczego nie rozumieją z polityki Ci którzy mówili że Polska jest natchnieniem świata, nie mylili się bynajmniej, jak nie mylili się ci, co nazywali ją kamieniem probierczym prawdziwego zwycięstwa. Rząd Arciszewskiego zrozumiał to i z powagą moralną, będącą znamieniem całego życia naszego premjera postępuje w myśl tych prawd, które rząd poprzedni traktował jako slogan propagandowy, nie mający nic wspólnego z jego postawą i polityką.

Jeżeli pan Mikołajczyk połączy się z Bierutem i Żymierskim i zrobi przez to wrażenie w świecie, że jakiś odłam narodu polskiego poddaje się, będzie to napewno nowe zwycięstwo Rosji i nowa ciężka trudność w naszej tak dramatycznej sytuacji.

Ale pakt krymski choć w intencjach swych definitywny może się stać definitywnym dopiero na ruinach chrześcijaństwa i wolności. Ci, którzy wierzą w te ideały, którzy o nie walczą naprawdę, muszą uważać umowę w Jałcie tylko za epizod przejściowy i muszą pracować, aby stał się tylko epizodem. Ci wierzą też niezłomnie, że przyjdzie chwila, gdy polityka prowadzona dziś przez rzad polski zwycięży, okazując się wcale nie szaleńczą ale jedynie dalekowzroczna i rozumną.

"Bez niepodległości nie pojmujemy bytu naszego; bo nigdy naród swobodnie sił swoich nie użyje jeśli jarzmo obce lub wpływ cudzoziemczy wiązać go będzie. Kto ściąga cudzoziemce na swój kraj, aby w nim panowali dawno jest przez wszystkie pokolenia zdrajcą nazwany. Mieliśmy niestety takich, a ci co nie ufają siłom własnym narodu, co nieskończenie szukają pomocy, opieki cudzoziemskiej, co w tak nazwanej udzielności przez cudzoziemską politykę pozwolonej już niepodległość widzą — niech pomną aby podając ustawicznie naród z jarzma w jarzmo nie zarobili na zdrajców imię."

Joachim Lelewel.

NAKAZY CHWILI

(Artykuł z "Orła Białego" pisany przed układem w Jałcie, wyrażający opinję naszego wojska.)

Mamy za sobą okres ciężkiej szarpaniny wewnętrznej, okres niewybrednych presji z zewnątrz. Przeszliśmy przez niego obronną ręką.— To, czego od nas chciano, czego od nas potrzebowano, to była zgoda, ni mniej ni więcej, na warjant linii Mołotow-Ribbentrop, wytyczonej między dwoma rozbiorcami po klęsce wrześniowej. Na ten rozbiór chciano uzyskać placet Polski walczącej szósty rok po stronie zwycięskich narodów zjednoczonych. Chciano uzyskać zgodę rządu polskiego i jego aliantów. Chciano uzyskać zgodę na nową granicę zachodnią Rosji, bo tego tylko od nas i od naszych aliantów Sowiety potrzebują. Reszta problematu polskiego miała być zachowana do dalszej rozgrywki... sowiecko - niemieckiej. A tymczasem "fuzja" miała robić swoje. Fuzja między prawowitym rządem Rzeczypospolitej a grupą desygnowanych agentów, dokonana według znanej recepty na pasztet "jeden wół i jeden królik", miała przygotować od wewnątrz tę dalszą rozgrywkę.

Zgody rządu polskiego nie uzyskano. W oparciu o Kraj, społeczeństwo na emigracji i jego najistotniejszy w naszych warunkach wyraz — armję Pan Prezydent Rzeczypospolitej powiedział: nie. Nowy rząd ujął problemat polsko-rosyjski w sposób podyktowany wyłącznie polską racją stanu. A więc nastąpiło godziwe i jedynie słuszne odwrócenie sprawy: — najpierw pomówmy o tym, jak ta przyszła Polska będzie wyglądała jako całość, a potem możemy przemówić o ewentualnej modyfikacji granicy wschodniej. Najpierw zapewnijmy tej Polsce wspólnie pełną suwerenność, niepodległość i bezpieczeństwo, wykreślmy całość granic — bo przecież chodzi także o ziemie polskie na północy i zachodzie — a potem możemy negocjować na temat wielu spraw, które powinny po tej wojnie inaczej wyglądać. A więc gotowi jesteśmy — wbrew temu, co nam ciągle, ale w złej wierze, zarzucają — zaproponować Rosji Sowieckiej przymierze polsko-rosyjskie przeciw wszelkiej przyszłej agresji niemieckiej. Jesteśmy gotowi współpracować z nią dla jakiegoś nowego ułożenia stosunków gospodarczych w Europie środkowej i wschodniej; chcemy też współdziałać z nią dla utrzymania pokoju powszechnego w jakiejś przyszłej organizacji międzynarodowej. I chcemy porozumieć się w sprawach granicznych, skoro zdaniem Rosji takie istnieją, ale jak równy z równym, w dobrowolnym układzie. Nie zapominamy ani chwili o tym, co Polska dała z siebie w tej wojnie: w imię naszych ofiar żądamy traktowania, na jakie najciężej doświadczony wśród aliantów naród zasłużył.

A gdyby do tych układów jednak nie miało dojść, gdyby dłoń przez nas wciągnięta miała zawisnąć w powietrzu, niech w takim razie alianci zapewnią Polakom w Polsce możność swobodnego wypowiedzenia się. Nie boimy się go. Jesteśmy tego samego zdania, co lord Cranborne, że urna wyborcza jest najlepszym i jedynym lekarstwem na wszelkie choroby starej Europ. Ale wybory muszą być swobodne, a rezultat ich niesfałszowany. I dlatego żądamy — zgodnie z treścią naszego ostatniego memorandum — by Polską na czas tych wyborów administrowała komisja międzyaliancka, oparta o kontyngenty wojskowe alianckie. Zresztą, własna administracja lokalna, oparta o istniejące kadry administracji podziemnej, pomogłaby skutecznie takiej komisji. Dopiero sejm w ten sposób wybrany mógłby wyłonić rząd polski, któremu obecny rząd Rzeczypospolitej mógłby przekazać pełnię władzy.

Jednego napewno nigdy nie zaakceptujemy i nie uznamy: faktów dokonanych bez naszego udziału i jednostronnych o nas rozstrzygnięć. Nie uznamy tzw. rządu lubelskiego, który jest grupką uzurpatorów wysuniętych przez obce mocarstwo. Uznanie takiego rządu przez naszych aliantów byłoby przekreśleniem niepodległości Polski, o której utrzymanie podjęto tę straszliwą wojnę.

Tak postawiona sprawa, postawiona jest jasno i uczciwie.

A jaka jest sytuacja w Kraju?

Cechuje ją przedewszystkiem otwarta walka, wypowiedziana przez okupanta Armii Krajowej. Żołnierze, którzy walczyli od lat 5 z Niemcami, żołnierze armii utworzonej w 1939 roku przez śp. generała Sikorskiego, uznawanej i wspomaganej przez Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone, żołnierze, którzy pomogli Sowietom zająć Wilno, Lwów, Lublin, a w Warszawie okryli imię polskie nieśmiertelną chwałą — ci żołnierze określeni zostali jako "bandyci, kolaboracjoniści i agenci hitlerowscy". Wypowiedziano im śmiertelną walkę; dla walki tej utworzono specjalne trybunały ludowe, na wzór sowiecki, w Krakowie i Łodzi. Skazuje się ich, deportuje i strzela. Rządy terroru objęły całą Polskę. Terror też stosuje się do robotników fabrycznych, którzy nie chcą pracować, terror do chłopców, którzy nie chcą dostarczać potrzebnych produktów armii czerwonej. Systemem monopartji rządzony ma być kraj w którym powołana teraz do rządów partja stanowiła zawsze znikomą garstkę. Konsekwencją i rezultatem może być oczywiście tylko terror, jako metoda rządzenia. I to w chwili, gdy wysłannik Prezydenta Roosevelta mówi w Rzymie do prasy imieniem Ameryki: "Jest rzeczą absolutnie niedopuszczalną, by ktokolwiek z krajów wyzwolonych miał znosić rządy totalitarne, pod jaką bądź etykietą te rządy by się zjawiały". W takiej chwili grupka czerwonych faszystów zabiera się przy pomoc N.K.W.D. do rządzenia krajem, którego demokratyczne tradycje dawnością swą nie ustępują angielskim.

Jakie powinno być w tej sytuacji nasze stanowisko?

Idą na nas ciągle jeszcze czasy ciężkie, czasy presji i prób wymuszania.....

Nadszedł czas koncentracji w dziedzinie politycznej i wojskowej. Ostatnie memorandum rządu R. P. daje podstawę dla skupienia się wszystkich kierunków politycznych, naprawdę polskich. Nie powinny pozostawać poza odpowiedzialnością poszczególne stronnictwa, działające w ramach obowiązującej konstytucji. Tymbardziej, że na grę zostaje dosyć wąski margines — wąski, ale wyraźny. Poza nim kończy się wspólnota narodowa i trudno liczyć na tych, którzy związani są przysięgą żołnierską.

Taki jest nakaz koncentracji politycznej. A co do wojska — wiadomo. Wojsko chce być razem. Dostanie się Naczelnego Wodza do niewoli niemieckiej wytworzyło próżnię, którą w ciężkiej sytuacji obecnej odczuwamy coraz dotkliwiej. Wojsko chce być razem, dowodzone zgodnie z tradycją polską.

TYGODNIK POLSKI
is
PUBLISHED WEEKLY
by
TYGODNIK POLSKI
at
806 Lexington Avenue
New York 21, N. Y.
Tel. Regent 7-4168

Editor:
Jan Lechoń

Subscription
Monthly 80 cents
Half yearly $4.80 Yearly $9.50

"Entered as second-class matter April 2[illegible], 1944 at the post office at New York 1, New York, under the Act of March 3, 1879"

ALEKSANDER JANTA

O ŻOŁNIERZU PANCERNEJ DYWZJI

(BALLADA SENTYMENTALNA)

Różne były jego drogi w wojnie, niełaskawe było przeznaczenie
Nazywał się Staś Listopad ale w pułku zwali go "Marzenie".

Bowiem oczy miał ciemne, głębokie, rozmarzone, a serce na dłoni
Jak się taki ostoi w tych czasach? okrucieństwom losu jak obroni?

Osiemnaście lat kończył we wrześniu. Gdy wspomina dzisiaj, myśli: piekło
Bił się. Rosły pożary i klęska, czarnym dymem niebo się powlekło.

Przed Niemcami krył się. Aż się przedarł na rosyjską stronę okupacji
Wzięli. Potem wywieźli na północ. Bez wyroku. Nie wie z jakiej racji.

Beznadziejność zalęgła się w sercu. W głowie myśli niespokojne drzemią.
Trzeba było odrazu na Węgry, albo w Polsce zaszyć się pod ziemią...

Po dwóch latach dopiero zwolnili. Przeszedł tyfus, miał szkorbut na mrozach.
Potem wlókł się, cień dawnego chłopca, ale w polskich nareszcie obozach.

W Persji wreszcie czuł się trochę lepiej. Dalej Irak. Dalej Palestyna.
Dużo słońca i złote owoce. Poznał słodycz miłości i wina.

Ale rwał się, jeszcze niecierpliwy, ojczystego pragnąc horyzontu
Bliżej bliżej europejskich brzegów, bliżej bliżej przyszłej linji frontu.

Do lotnictwa, choć to i broń dobra i najszybszy środek lokomocji,
Nie przyjęli. Cóż, mówi się trudno. Na pociechę pojedzie do Szkocji.

Na początek nie bardzo przywykał. Znowu głowę miał pełną rozterki.
Ale zaraz go wzięto na kursy. Pilnie uczył się najpierw szoferki.

Aż i dorwał się wreszcie do czołgów, które przedtem tylko zdala widział.
Ale nic w tem nie było dziwnego. Do pancernej dostał przecież przydział.

Pilnie szkolił się oddział do walki. Na ramieniu husarski znak skrzydła.
Epolety czarnej brygady. Zawsze była w boju niedościgła.

Dotąd żyje wspomnieniami bitew, ich tradycją tragiczną i szczytną
I sztandarów swoich dawnych strzeże, zwycięstwami niech wreszcie zakwitną!

W Szkocji czas się wlecze! Niepogoda deszcz i niebo szumiące szarugą.
Polski żołnierz nieraz się zamyśla nad tą drogą nieskończenie długą.

Aż narzekać na pogodę przestał odkąd znalazł w swojej poniewierce
W któremś małem szkockiem miasteczku dom i czułe, bo dziewczęce serce.

Zrazu sądził, ot przyzwyczajenie, taka sobie nieważna zażyłość;
Lecz uczyła go też po angielsku i mówiła "love" to znaczy miłość.

Wydawało mu się że szczęśliwy, lecz nocami śniła mu się matka
Tego przecież zapomnieć nie może, nie przstanie tęsknić do ostatka.

W snach powraca i tłucze się w sercu i gorączką przepoił mu zmysły
Obraz inny, dzieciństwo warszawskie, siwe niebo, srebrna wstęga Wisły.

Wtedy płakał. Nikt tego nie pojmie, nie zrozumie jego łez, nikt nie wie,
Czasem śpiewał i wszyscy słuchali. Głos miał ciepły i łzy topił w śpiewie.

Czytał wiersze gdy się do nich dorwał a gdy nie, sam je pisał w notesie.
Chował skrzętnie. Trochę się ich wstydził no bo nuż się po pułku rozniesie.

Pisał słowa takie jak WZRUSZENIE, szukał rymu do słowa WARSZAWA
A do głowy cisnęła się WOLNOŚĆ, a na sercu trzepotało SŁAWA.

Gdy wspomina swą przeszłość niedawną, Rosję, Persję i pustynny Irak
Aż się zdziwi że to wszystko przszedł, taki młody, a dziś już Sybirak.

Czuł że zbliża się czas pierwszej akcji. Ponosiła go nieraz fantazja
I zdawało mu się że to powrót, w dniu gdy przyszła wiadomość: INWAZJA.

Brał w niej udział. Tratowały czołgi pól normandzkich panoramę żyzną.
Ile razy szli przez złote zboża tyle razy oddychał ojczyzną.

Aż wróg ogniem wtargnął w to odczucie, pola przemiótł huragan wybuchów,
Lecz choć było gorąco i ciężko nie wpadł jakoś w ręce łapiduchów.

Wojna bowiem jst tak jak loterja, śmierć lub rana jak los na loterji
Nie wyciągnął tego losu zaraz, był widocznie z tej szczęśliwszej serji.

Pruł do Niemców gęsto i skutecznie a koledzy, każdy jak ta lala,
W czołgu jedną już byli rodziną. Po Normandji Staś dostał kaprala.

I mówili nasz kapral Marzenie a pułk chwalił, że dobra załoga
Zawsze w przedzie i nic się nie boi, nawet Panter. Chyba tylko Boga.

Odpoczynek mieli jak się patrzy, w rzece kąpiel, niebo zamiast dachu
I powietrze wkoło znowu jasne, bez trupiego na polach zapachu.

Potem pościg. Dywizja na północ, tank za tankiem i oni w swym tanku.
Gnają Niemców przez Francję. Do Belgji dociągnęła załoga bez szwanku.

Tutaj miasta otwarte sercami, radość, szczęście, szał nie do pojęcia —
I padają kwiaty pod czołgi, a załogom dziewczyny w objęcia!

Tak się pośród barw polsko-aljanckch w miastach istny rozpętał karnawał
I świat nagle im, wybawicielom, jakiś lepszy przez chwilę się zdawał.

Jakiś bardziej łaskawy i jasny, wracający nagle sens w odbiciu
Krzyku tłumów radosnych, bo wolnych, tą wolnością już obcą ich życiu.

I łzy wzruszeń zasnuły spojrzenie hartownego, pancernego wojska
Gdzie jest własna ojczyzna? Tu ziemia choć gościnna, lecz przecie nie swojska.

A gościnna także cmentarzami bo niejeden nowy grób żołnierza
Znaczy szlaki, jakie ich dywizja od Normandji po Flandrję przemierza.

Lecz nie pora na żałość i troskę. Nie pomogą nic próżne modlitwy
Bez wytchnienia idą dalej naprzód, okresami od bitwy do bitwy.

Taka droga i taka jest służba, tak wygląda ich dola żołnierska,
Nie spostrzegli nawet że granica, że to ziemia już jest holenderska.

Przejechali ją czołgami w bitwie i nikt nawet nie żądał paszportu
Bo też wojna jest dla nich jak podróż, choć niezawsze ma charakter sportu.

I niezawsze dopisuje szczęściem. Miał je dotąd kapral Staś Listopad,
Strzelał celnie gdzie tylko popadło, choć sam także pod "pepance" popadł.

Czołg popruły. Dwóch rannych we wieży. Przedni strzelec objął dowodzenie,
Wykierował czołg ku własnej linji. Mówią: spisał się kapral Marzenie.

Wyróżniony rozkazem dywizji krzyż miał dostać, lecz nie było czasu,
Nowy czołg podciągnęli czemprędzej i załogę dobrali z zapasu.

A z nią razem, choć nie bardzo znał ich i nie wiedział dobrze, co za jedni
Jest i kapral Marzenie na miejscu, swojem miejscu jako strzelec przedni.

Trzeba było piechocie już w akcji, gdzieś na prawym odcinku dać wsparcie,
Niemcy siedzą w miasteczku. Wziąć miasto! Za godzinę wyjść musi natarcie.

Po tej grobli, objaśnia dowódca, na ten wiatrak o rozdartym czubie,
Niezbyt swojo czuje się załoga. Przedni strzelec pomyślał: to lubię!

Nieprzyjaciel trzyma skraj miasteczka, czołgi poszły naprzód, idą śmiało
Już dochodzą. Niemcy się zbudzili! Z wszystkich luf, jak w czas burzy błyskało

Twardym zgrzytem, głuchym chukiem. Z niemi Staś Listopad w pierwszym czołgu szpicy,
Ciężko wtoczył się pomiędzy domy, plunął ogniem po pustej ulicy.

I zatrzymał się i wtedy nagle piorun wstrząsu, ratuj się kto może!
Wyskoczyli. A gdzie przedni strzelec? Krew na oczach, płomień. Mocny Boże!

Dźwignął klapę, wydziera się z czołgu, sam się pali, jakby żywa świeca...
Nie ucieknie, bo wybuch rozsadził ciasne wnętrze pancernego pieca.

I poraził go ciężarem błysku, odłamkami uderzył, jak ciosem,
Inne czołgi szybko przeszły obok, każdy idąc na spotkanie z losem.

Biorą miasto. A sanitarjusze podsunęli się, gdzie czołg trafiony,
Doktór przybiegł. Zapóźno. Napróżno. Ciężko ranny, strasznie poparzony.

W Stasia głowie rozbitej, przez piersi, postrzępione żelazem do głębi;
Mkną skrzydlate, wielkie cienie śmierci, ciemność krwawo na oczach się kłębi

Tak skończyła się służba kaprala, los do tylu na wojnie podobny,
Jeszcze Krzyża Walecznych nie dostał, już ma inny, większy, bo nagrobny.

Zbili mu go z dwóch desek koledzy, wykopali dół na metr głęboki,
Ten pomieści snów największą miarę, wszystkich tęsknot cele i uroki.

Przysypali ciężką, obcą ziemią, której przyniósł życie i swobodę
Jego głowę o jasnej czuprynie i te ciemne jego oczy młode,

A na krzyżu imię i nazwisko i dwie daty, "urodził się", "zginął",
Napisali w nawiasach "MARZENIE", jak świadectwo snów jego i czynu.

A to znaczy, że się nie doczekał na swej drodze szczęścia ni powrotu,
I niczego z tego o czem marzył, niby ptak, co się łamie w pół lotu.

Jak te kwiaty co na grobie więdną, które rzucił odchodząc kolega.
Jak to wszystko o co się bijemy i co sercu Polaków dolega.

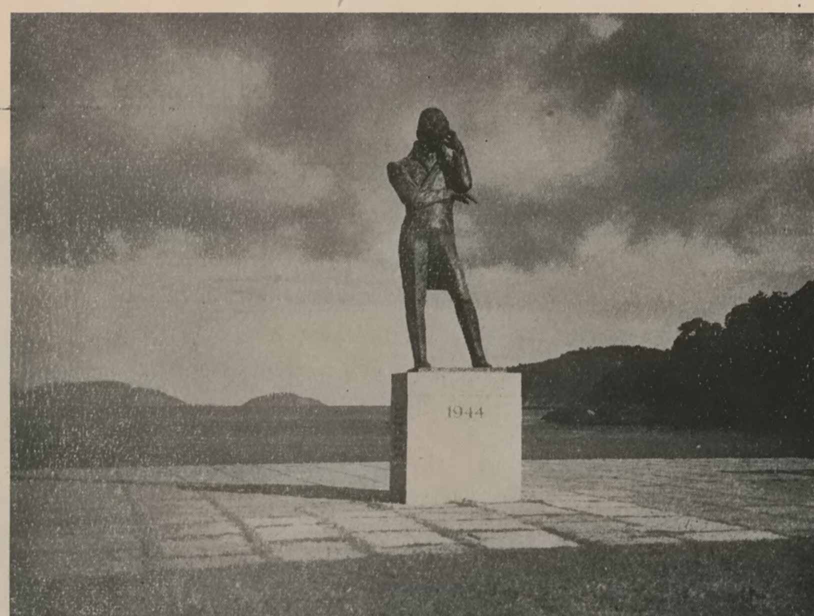


Przywódcy Polskiego Ruchu Podziemnego we Francji: Minister Aleksander Kawałkowski (Justyn) i płk. Zdrojewski (Daniel)

Pomnik Chopina — arcydzieło Augusta Zamoyskiego

ZNAKOMITY RZEŹBIARZ MÓWI O GŁĘBOKICH PODSTAWACH SWOJEGO POJĘCIA POSTACI CHOPINA

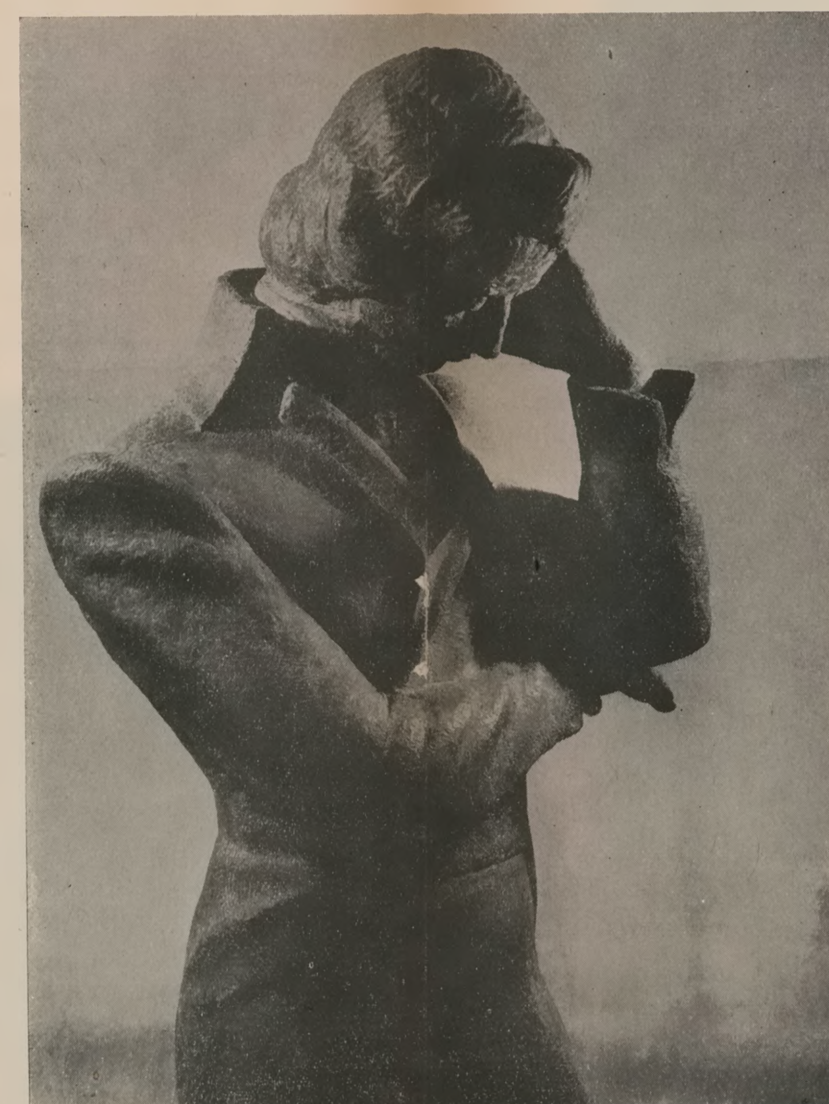
August Zamoyski, którego ostatnie dzieło — pomnik Chopina, właśnie odsłonięty w Rio de Janeiro, reprodukowaliśmy w Tygodniku z dn. 4 lutego r. b. — przyjeżdża wkrótce na szereg miesięcy do Stanów Zjednoczonych i Kanady. Od kilku lat profesor rzeźby w Akademji Sztuk Pięknych w Rio, świetny nasz artysta wysłany jest obecnie przez brazylijskie Ministerstwo Oświaty z oficjalną misją nawiązania kontaktu z tutejszym światem sztuki i nauki. — Aczkolwiek zadanie to ma na celu



współpracę kulturalną Ameryki Łacińskiej ze Stanami Zjednoczonemi, przecież sam fakt, że powierzono je Polakowi, jest sam przez się dla nas radosny. Świadcząc bowiem jaknajlepiej o zrozumieniu doniosłości sztuki przez rządowe czynniki brazylijskie, otwiera on, na przestrzeni obu Ameryk, pole do działalności jednemu z naszych najwybitniejszych artystów i najgorętszych patrjotów.

Zanim pobyt Augusta Zamoyskiego w Stanach da nam możność napisania o nim obszerniejszego artykułu — zamieszczamy otrzymane od niego zdjęcia dające dokładne pojęcie o klasie artystycznej i natchnionem pięknie Chopina Zamoyskiego, który pozostanie na zawsze jednym z arcydzieł sztuki polskiej i największem dziełem artysty. O dziele tym w przyjacielskim liście tak autor pisze:

..."Oto parę słów, które mogą się przydać do ogólnego opisu mojej ostatniej pracy, t. zn. posągu dziewczyny, zaczętego jeszcze w Polsce, nad którym pracowałem 8 lat. W Polsce rzeźba była już gotowa, tu przywiozłem tylko rysunki i pierwszą makietę i rozpocząłem ją na nowo, z pewnym warjantem, bo uważam tę pracę za pewnego rodzaju moje "credo". Jest to "Rhea" — ziemia— ale nasza, — jest małżonką nieba. (Uranus.) "Elle fut la mere des biens et des maux, des vertus et des vices". Pozowała mi do tej roboty dziewczyna ze wsi, młoda 20-letnia potęga. Stoi bez elegancji, po swojemu rozkraczona, prawie wryta w ziemię, uparta, zamyślona, pełna zaufania w swą przyszłość. Wszystko się zmieni może, ale tych ludzi nikt nie ruszy.



"L'attitude d'une statue" — postawa — jest jednym z wielkich zadań w rzeźbie. Od postawy "frontalnej" archaicznych "Kurosów" (chłopców) greckich, z przywartemi wzdłuż ciała ramionami, aż do "Apoxyomenosa" Lizypa w postawie zupełnego "dehanchement" z tak zwanym "steh und spielbein" (waga całego ciała oparta na jednej nodze, przyczem długa noga oparta luźno,



co wywołuje to "dehanchement" w biodrach)— upłynęły wieki poszukiwań. W mojej "Rhei", w mojej "France" zdaje się znalazłem postawę specyficznie polską naszego ludu, to samo w układzie ramion i oparciu głowy na upartej mocnej pięści: "nie dam".

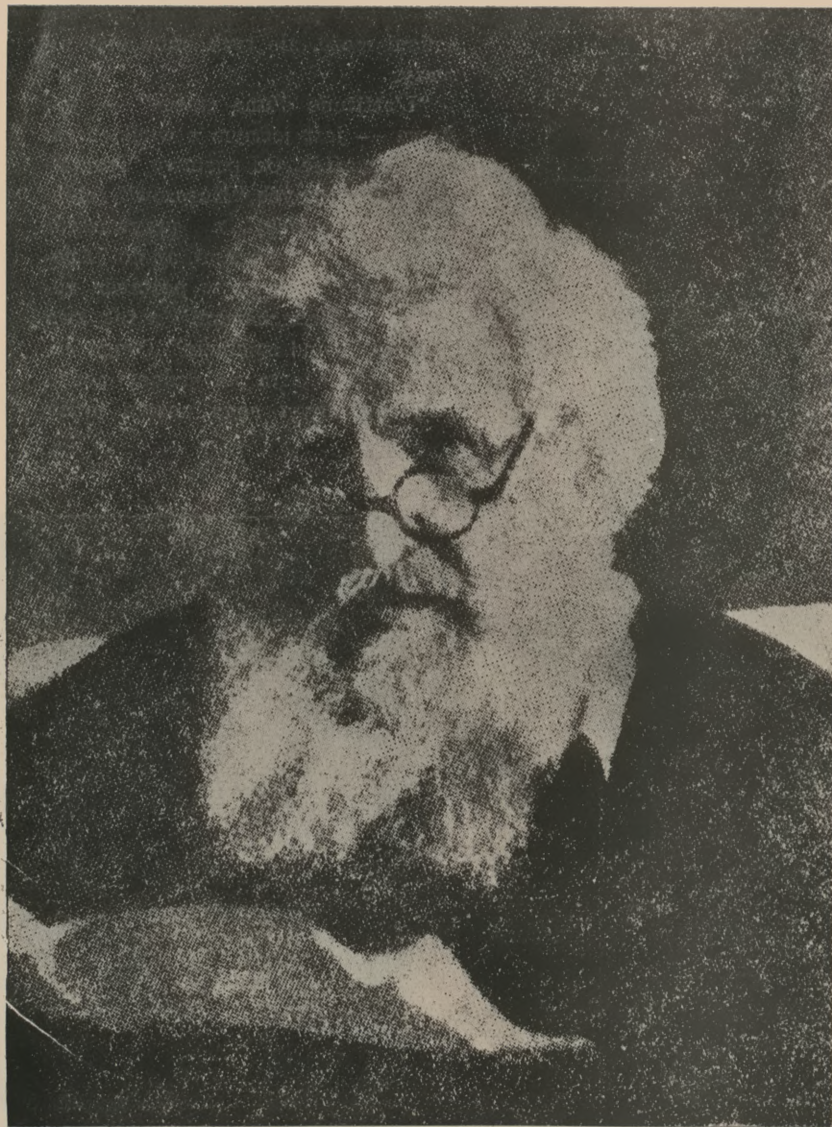
Otóż spędziłem kilka lat na ustaleniu tej postawy i zużyłem ją do Chopina, co mi tę pracę o lata skróciło. Dwa fizycznie od siebie różne ciała, ale stoją "swoiście". Chopin jedynie, zamiast oprzeć głowę o pięść, jak muszlę przykłada ją do ucha i słucha nad brzegiem morza, co mu fale za nowiny z ojczyzny przynoszą — tak jak my dziś wszyscy wsłuchani jesteśmy, jak tam serca biją.

Dużo się mówi o Chopinie "rewolucyjnym" ale był przecież i Chopin poeta z preludjów. Nie można tylko jednostronnie wszystkiego widzieć i wszystko gigantycznie. Chopin — to wieszcz-poeta tonów, który polską nutą do całego świata przemówił, do najistotniejszych ludzkich uczuć; tą właśnie cichą nutą skały porusza.

Zdarza się poraz pierwszy, że zrobiłem postać ubraną. Szata jest atrybutem niebezpiecznym: łatwo można popaść w stylizowaną teatralną dekoracyjność, szczególnie gdy trzeba oddać ubiór sprzed wieku, — studjuje się go z dawnych dokumentów, które już nabrały stylu, i można stracić wszelką świeżość autentycznego "ujrzenia". Toteż starałem się stracić fałdy i zwrócić całą uwagę na sylwetkę postaci."

ARTYSTA POLSKI NA EMIGRACJI STWORZYŁ DZIEŁO, KTÓRE BĘDZIE NAZAWSZE CHLUBĄ NASZEJ SZTUKI

METROPOLITA SZEPTYCKI W OBRONIE WIARY I UKRAINY PRZED BOLSZEWIKAMI



Jak wiadomo zmarły przed paru miesiącami lwowski metropolita grecko-katolicki Andrzej Szeptycki był nietylko pierwszym ukraińskim księciem kościoła, ale też najwybitniejszą wielkiego rozmiaru duchowego postacią w ukraińskim życiu narodowem, wyrazicielem i obrońcą jego aspiracji. To przodownictwo duchowe Szeptyckiego zajaśniało w czasie niemieckiej i dwukrotnej sowieckiej okupacji Lwowa blaskiem naprawdę apostolskim i męczeńskim. Fragmenty z listów pasterskich i listów prywatnych nieboszczyka, które podajemy za "Orłem Białym" świadczą zarówno o tem wspaniałym jego posłannictwie jak też o martyrologji Ukraińców pod okupacją sowiecką.

"Bolszewicy przybyli aby "wyzwolić" i uratować Ukraińców, co w ich języku oznacza ujarzmić i zrujnować, grają komedię oswobodzicieli i zbawców"......

"Wszelkie te przywileje nie przeszkadzają ludowi widzieć, że cały system zmierza do całkowitej ruiny ukraińskiego życia narodowego"......

"Nauka kościelna powinna przede wszystkim uwzględniać ogólne potrzeby całego narodu w danej chwili... z uwagi zaś na ogólne i wzrastające z każdym dniem niebezpieczeństwo niewiary, kazanie w naszych czasach musi przede wszystkim zmierzać do tego, by umocnić wiarę"......

"A oprócz tego nasze kazanie musi dać wiernym oręż do zwalczania niewiary. Mamy teraz pomieszanych z naszymi ludźmi wiele nieszczęśliwych dusz, w które wmawiają, że są bezbożnikami, a może i same one za takie się uważają. Z uwagi na nie trzeba, byśmy my i nasi wierni mieli treściwe i trafne odpowiedzi na argumenty, czy raczej szaleństwa, którymi wojują bezbożnicy."

"W szpitalach sowieckich traktuje się umierających gorzej aniżeli skazanych na śmierć w więzieniach europejskich, którym zwykle nie odmawia się spełnienia ostatniej prośby"......

"Wzywa się wszystkich księży, którzy mieszkają blisko szpitali, by odwiedzali je jak najczęściej... oczywiście w świeckich ubraniach, by dać chorym możność spowiadania się. Pozwalam potajemnie przynosić chorym Komunię św. i tak komunikować, by nawet najbliższy sąsiad tego nie zauważył."

"Proszę by Jego Świętobliwość żechciała przez swe Apostolskie i Ojcowskie Błogosławieństwo wyznaczyć mnie, wysłać i delegować na śmierć za wiarę i jedność Kościoła. Nie odważam się przedstawić tej prośby bezpośrednio Ojcu Świętemu.. Kościół nic nie straci, a może tylko zyskać... Będąc pasterzem tego biednego ludu, który tyle cierpi, czyż nie mam prawa umrzeć za jego zbawienie?"

ANDRZEJ STOCKER

Porucznik Charles — Gość Polek Walczących

(Ze wspomnień oficera wojennej marynarki holenderskiej)

(Odczyt wygłoszony w Ognisku Polskim w Londynie w styczniu 1945)

W czasach, w których niemieccy rozpruwacze nie mieli jeszcze tak udoskonalonych metod masowego mordowania, Goethe, przedstawiciel wysokiej kultury europejskiej napisał w Fauście:

"Das ist die Kraft, die Boeses will und Gutes schafft." — siła, która zamierza wyrządzić zło, a ostatecznie tworzy dobro.

Niemcy wyrzekli się Goethego, słowa którego obecnie się sprawdzają. Napewno nie chcieli Niemcy zbliżenia i przyjaźni między ciemiężonymi przez siebie narodami. Nie, właśnie chcieli je jaknajbardziej poróżnić, poważnić między sobą. Zapomnieli o jednym: o reakcji ludzkiej natury. Zapomnieli, że im biedniejszy, im bardziej prześladowany jest człowiek, tym bardziej jest on wrażliwy na biedę i krzywdę wokół siebie. To jest przecież takie proste, takie ludzkie! Skrzywdzony człowiek szybciej zobaczy skopanego psa, bezdomnego kota, niż ten szczęśliwy wesołek, który patrzy się na śmiejące się do i dla niego słońce. To jest proste dla ludzi, ale nimi przecież nie są Niemcy.

— Są to stwory najzupełniej człekokształtne, ale to niczego nie dowodzi. Na to, aby być człowiekiem, trzeba jeszcze mieć duszę, serce i odrobinę lepszych myśli w mózgownicy. gdy sę tego nie ma — nie jest się człowiekiem jest się — Niemcem. — Trzeba o tym wszystkim dobrze pamiętać, bo tylko wtedy można ze spokojem i bez zdziwienia opowiadać to, co zdążyłem w ciągu ośmiu miesięcy w Polsce zobaczyć — mówi do mnie wysoki, bardzo miły oficer, którego dla uproszczenia nazywam "porucznik Charles".

* * *

W lipcu 1940-ego roku porucznik Charles, wraz z resztą załogi unieruchomionego okrętu wojennego holenderskiego, walczył na ulicach Rotterdamu przecw niemieckiemu najeźdźcy. Walka była jednak nierówna — parę dni później Holendrzy znajdowali się już w pociągu, wiozącym ich do obozu jeńców wojennych, położonego gdzieś w głębi Rzeszy.

Dobrze strzeżony "Oflag" był już zamieszkały przez oficerów polskich. Holendrzy zostali szybko przyjęci do jenieckiej rodziny, wtajemniczeni we wszelkie obozowe mądrości i wkrótce już zaczęli projektować różne sposoby ucieczki. W tych swoich projektach korzystali oczywiście z fachowej pomocy swoich polskich kolegów. Zwyczajna znajomość i obozowe sąsiedztwo zamieniło się wnet w trwałą i serdeczną "międzynarodową" przyjaźń. Młody polski oficer — kapitan Jan — stał się nieodstępnym druhem porucznka Charles.

Rok za drutami kolczastymi przeszedł im niespodziewanie szybko. W tym okresie porucznik Charles i jego polscy i holenderscy koledzy wykonali ogółem czternaście prób ucieczki, z których ani jedna się nie udała, a kilka skończyło się dla niektórych tragicznie. W drugim roku pobytu nikt z Holendrów już nie próbował...

Powodem tej zmiany całkiem nie była jakaś wzmożona czujność niemiecka. Poprostu jeńcy jakimś cudem dowiedzieli się, że zasadnicze obozy internowanych znajdują się na terenie Polski — tam przebywają wszyscy oficerowie alianccy, z wyjątkiem samych Polaków. Oficerowie holenderscy z ich obecnego Oflagu mogli być każdej chwili odesłani do Polski. Na terenie Polski ucieczka ma znacznie większe widoki powodzenia, ze względu na wrogą Niemcom ludność polską. Tak przynajmniej porucznikowi Charles wytłumaczył polski przyjaciel kapitan Jan, któremu Charles święcie wierzył.

Wobec teg zupełnie nowe zajęcie przybyło porucznikowi Charles i jego wszystkim rodakom: wieczorami, starannie pozaszywani w kątach baraków uczyli się języka polskiego pod nadzorem ochotniczych nauczycieli. Porucznik Charles, prócz tego, tak "na wszelki wypadek", zajął się zbieraniem adresów w Polsce.

W połowie 1943-ego roku grupa oficerów cudzoziemskich została wywieziona do obozu w południowo-wschodniej Polsce. Tuż przed wyjazdem kapitan Jan podszedł do porucznika Charles i powiedział:

— Bądź ostrożny. Gdy będziesz na wolności nie zdradź nikomu swoich adresów, gospodarzy, u których będziesz mieszkał, nie narażaj zbyt długim pobytem. Pamiętaj — ty w razie czego stracisz tylko wolność, oni stracą swoje głowy.

W Oflagu w Polsce porucznik Charles spędził sześć długich jesiennych i zimowych miesięcy. W grudniu powiodła mu się nareszcie ucieczka — wraz ze swym współrodakiem uciekli na wolność, obdarci, wynędzniali, głodni i nie znający miejscowego języka. Również ich wygląd nie wróżył zbytniego powodzenia — obaj bruneci, o silnej domieszce malajskiej, odbijali wybitnie od niebieskookiej i jasnowłosej ludności kraju.

Sześć mroźnych nocy trwała ich wędrówka — szli głównie lasami, w ciągu dnia starając się odpocząć i przespać w leśnych krzakach. Po czterech latach po raz pierwszy przydała im się znajomość astronomii nautycznej: szli w kierunku północno-zachodnim, biorąc do pomocy Gwiazdę Polarną i inne pierwsze wielkości gwiazdozbioru. W jednej tylko rzeczy nie mogły im gwiazdy pomóc, w zdobyciu jedzenia. Szóstej nocy, a raczej wczesnego zimowego wieczoru zdecydowali się na wyjście z lasu. Znajdowali się w okolicy jakiejś wsi. Ostrożnie i z duszą na ramieniu podeszli do pierwszej z brzegu chaty. W oknie świeciła się lampa naftowa. Zapukali. Otwarły się drzwi i obaj przyjaciele zobaczyli skromnie ubraną kobietę, przyglądającą im się nieufnie. Przyjaciel porucznika Charles spróbował swojej w obozie nabytej polszczyzny. Skutek był piorunujący. Kobieta cofnęła się, przybrała pozycję obronną i krzyknęła przestraszonym głosem: "Partyzanci".

Po tym okrzyku nstąpiła zdwojona porcja wzajemnego przypatrywania się z zakłopotaniem, jak na złość wszelkie polskie słowa wyleciały mu z pamięci. W głębi duszy żywił lekką nadzieję, że przecież zbytnio po partyzancku obaj nie wyglądają. Kobieta jednak nie wyglądała na taką która da się zwieść łagodnym wyglądem. W dalszym ciągu spozierała nieufnie i bez śladu sympatji na chude i wynędzniałe sylwetki obu zbiegów. W tym momencie porucznik Charles zdołał wydobyć z mroków pamięci jedno jedyne, najcenniejsze słowo którego nauczył go kapitan Jan. Słowo to wyszło mu z zaschłej gardzieli przedziwnym, niesłowańskim szelestem:

"Szszsziiijacjal..."

Cud był wyraźny. Kobieta, jakby nauczycielską żyłką wiedziona, poprawiła brzmienie magicznego wyrazu — Przyjaciel — a później skłoniła się przed nimi milcząc i szerokim gestem ręki zaprosiła ich do wnętrza. Zaczęła się rozmowa dziwnym, łamanym polsko-holendesko-niemieckim językiem. Sens jej był następujący:

— Jeżeli pani jest tak przerażona — a my wiemy, że narażamy ją na

wielkie niebezpieczeństwo — to my sobie pójdziemy. Myśmy tylko chcieli powiedzieć, że jesteśmy oficerami Sprzymierzonymi, a pozatym jesteśmy bardzo głodni."

Gospodni, z wyglądu prosta, wiejska kobieta w chustce na głowie, wyprostowała się dumnie i odpowiedziała łamaną niemczyzną:

— O, nie, wy nie pójdziecie nigdzie — ja jestem polską kobietą.— Potem wszystko już było przedziwnie proste. Obaj zbiegowie po raz pierwszy od trzech z górą lat dostali wspaniały obiad i tak się objedli, że się długo ruszać nie mogli. Później nastąpiła kąpiel w balii gorącej wody i sen w szerokim, małżeńskim łożu. Gospodyni ostrzegła ich zawczasu, że zostaną zbudzeni o godzinie piątej rano, aby się udać w dalszą drogę do Warszawy. Trochę głupio czuli się obydwaj, gdy gospodyni pożegnała ich lekkiem skinieniem głowy, zaparła za sobą drzwi wejściowe i znikła na dobre. Przyjaciel porucznika Charles myślał, że wpadł w pułapkę, on sam jednak był innego zdania. Nie było innej rady — postanowili obaj czekać na nieznane.

Zostali zbudzeni wcześnie rano i po pożywnym śniadaniu, zostali zaprowadzeni przez gospodynię na stację kolejową. Przed samym pożegnaniem się dostali od niej rozkaz siedzenia w poczekalni i nie ruszania się z miejsca. Przyjdzie do nich drobna, młoda kobieta w niebieskim kapelusiku na głowie, która zajmie się nimi.

W pewnym momence czekania obaj otrzymali nowe, porządne kapelusze. Porucznik Chrales nie chce i nie może powiedzieć, w jaki sposób te kapelusze znalazły się w ich rękach. Uśmiecha się tajemniczo i mówi o tym poprostu:

— Przywędrowały.

Poczekalnia była zupełnie pusta, ale na peronie kręcił się tłum niemieckich żołnierzy, gestapowców i banszuców. Holendrzy spoglądali co chwila przez uchylone drzwi na ten tłum i robiło im się zimno ze strachu. W międzyczasie "wędrowały" do nich garderbiane szczegóły. Płaszcze, szaliki, spodnie i rękawice zastąpiły ich dotychczasowe łachmany. Trochę było strachu ze zmienieniem spodni i "spławieniem" starych obozowych relikwij, ale jakoś się udało. Żelazny piecyk w poczekalni był wcale obszerny, i, co najważniejsze, zgodnie z przepisami niemieckiego nowego ładu, nie był potrzebny "rasie podrzędnej" i nie palił się wcale.

O godzinie pół do dziesątej do poczekalni zaglądnęła młoda niewiasta w szykownym niebieskim kapelusiku na głowie. Widać było z jej twarzy, że nie była zbyt pewna, czy to właśnie oni. Holendrzy wstali szybko z miejsc. Twarz kobiety ozdobił szeroki, promienny uśmiech. Podeszła do nich i przywitała tak, jak się wita człowiek ze starymi znajomymi, których widział dwie godziny przedtem. Mówiła płynnie po niemiecku.

— Co, nie macie jeszcze biletów? Ach ci mężczyźni! Takie ślamazary— nawet biletów sami sobie kupić nie potrafią! Wszystko te kobiety muszą za nich robić...

Wysłuchując z osłupieniem całej tej niezwykłej perory, porucznik Charles z przerażenem zauważył olbrzymią głowę jakiegoś "Bahnschutza" zaglądającą przez uchylone drzwi do środka poczekalni. Jego przerażenie musiało się widocznie odmalować na jego twarzy, gdyż zauważyła je ich przewodniczka. Odwróciła się spokojnie, połową twarzy do nich, połową do "banszuca" i powiedziała głośno:

— A teraz siedźcie sobie tutaj grzecznie i spokojnie, dopóki nie wrócę. Idę kupić dla was i dla siebie bilety. Jeżeli nie będziecie grzeczni, to powiem panu banszucowi, a on was uspokoi. Prawda Herr Bahnschutz?

Zagadnięty uśmiechnął się głupawo i wycofał na dobre. Porucznik Charles wykrzyknął przerażony:

— Co pani robi najlepszego?

Przewodniczka zmierzyła go spokojnym spojrzeniem i odpowiedziała zwolna, cedząc zlekka wyrazy:

— Mój panie, to jasne, że pan nie wie, jak z tymi kretynami postępować. Oni nigdy nie są skłonni do działania gdy ich ktoś postronny o to prosi. Zwłaszcza, gdy ten ktoś jest Polakiem.

Kobieta znikła, po to tylko, by za chwilę wrócić z trzema biletami w ręku. Pociąg był już na stacji. Przewodniczka kazała im milczeć i postępować za nią. Kazała im nawet naśladować jej ruchy.

Do dziś dnia porucznik Charles nie umie wytłomaczyć, co się działo w następnych pięciu minutach. Szli posłusznie za swą przewodniczką i naśladowali jej ruchy. Co chwila znajdowali się w tłoku oliwkowych, czarnych i brunatnych mundurów — przepychali się przez ten tłok łokciami i kolanami. Drobna figurka ich nowej opiekunki znikała w ludzkiej toni, to znów wynurzała się, cały czas uśmiechając się radośnie i ufnie do swych pupilów. Wkońcu znaleźli się w przedziale — siedzieli na trzech miejscach obok siebie. Kobietka, nic nie tracąc ze swego tupetu, rozwinęła trzymane pod pachą zawiniątka i wciąż jeszcze gderając na niezaradność męską, obdarowała obu osłupiałych holendrów znakomitymi kanapkami.

Następnego dnia w godzinach popołudniowych byli już w Warszawie. Wszyscy pasażerowie milczeli, jak zaklęci, spoglądając spodełba na siebie. Kilku z nich spało, albo udawało, że śpi. To samo starali się robić obaj Holendrzy, ale w rzeczywistości nie byli zdolni się nawet zdrzemnąć. Ich opiekunka przeglądała z zajęciem gazety i magazyny niemieckie, nie zwracając na nich najmniejszej uwagi. Kontroli biletowej wogóle nie było. Porucznik Charles nie wiedział, czy jest to szczególny wypadek, czy zasada. Nie wiedział czy ma się z tego cieszyć, czy martwić.

Pociąg ztrzymał się na jednym z dworców warszawskch. Sapnął dwukrotnie, gwizdnął i zastygł w nieodwołalnym bezruchu. Pasażerowie rzucili się ku drzwiom ze swymi tłomokami, popędzani jakąś niewytłumaczalną potrzebą pośpiechu. Porucznik Charles nie wytrzymał i zapytał się swej przewodniczki:

— Czego oni wszyscy się tak śpieszą?

Mała kobietka machnęła lekceważąco ręką.

— To szmuglerzy — powiedziała — pilno im uciec od łapsów. Za szmugiel ostatnio wyroki śmierci rozdają.

Porucznik Charles już miał na końcu język coś w rodzaju — "a co nam wobec tego dadzą, gdy nas złapią..." — ale się powstrzymł. Przez drzwi do wnętrza przedziału zaglądnął mały człowieczek o twarzy szczura. Spojrzał na siatkę bagażową, schylił się i rzucił okiem pod nogi pasażerów, wyszczerzył zęby w dziwnym grymasie i wszedł.

— To łaps właśnie — powiedziała przewodniczka — szuka jedzenia i nic go więcej nie obchodzi.

(Dalszy ciąg nastąpi)

W POPRZEDNIM 8 (113) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

To nie są tylko słowa; Aleksander Janta: Emigrant; Aleksander Bregman: Churchill nazwał to "Nadużyciem i Farsą"; Mieczysław Pruszyński: W noc wigilijną nad Niemcami; Polska dziękuje Clare Boothe -Luce; Józef Miłobędzki: Do czytelnika; Wacław Iwaniuk: Liryczny szczegół; Scrutator: Sprawy polskie w książkach angielskich; Michał Choromański: Pamiętnik kanadyjski; Wyjątek z listu prywatnego szefa okręgu "Mazowsze" do Bernarda; Opinje i Zdarzenia.

Generał Anders, Wodzem Naczelnym



Generał Anders na audjencji u Ojca Świętego, Piusa XII, któremu ofiarował znaleziony w ruinach Monte Cassino pastorał opata Benedyktynów...

Generał Władysław Anders, wódz Drugiego Korpusu, zwycięzca z pod Monte Cassino, mianowny został Wodzem Naczelnym Armji Polskiej, w zastępstwie Generała Bora-Komorowskiego, będącego jeńcem niemieckim.

Ta decyzja powzięta w przełomowym dla Polski momencie ma znaczenie wyraźne, które pierwszy rozkaz nowego Wodza Naczelnego do Armji ujął w niedwuznaczne słowa. Polska nie podda się gwałtowi, nie odda swej ziemi, nie będzie słuchać narzuconego przez obcych rządu. Nie po to żołnierz polski i Polacy w kraju walczyli jak żaden inny naród o wolność świata, nie po to w obronie Londynu ginęli nasi lotnicy, a Drugi Korpus zdobywał nie do zdobycia dla innych szczyty — by odpłatę za to miała być niewola Polski, śmierć najlepszych i wieczne wygnanie bohaterów.

Tej woli nieugiętej naszego kraju, woli którą Rząd nasz twardo głosi — wojsko polskie jest symbolem i strażnikiem.

Wojsko polskie przedstawia nietylko wagę swych własnych w tej wojnie czynów ale ponadto również walkę kraju i jest naturalnym ambasadorem zmuszonej do milczenia i prześladowanej Armji Krajowej.

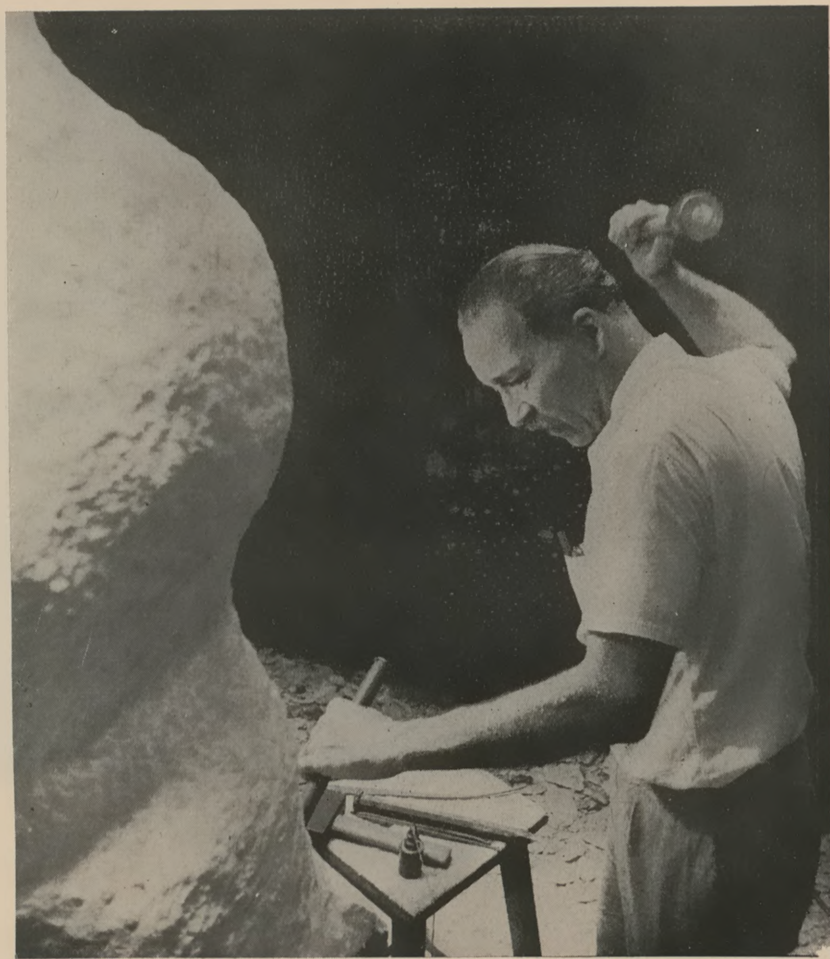
W obecnej chwili — nie może ono pozostawać bez Wodza Naczelnego, gwarantującego, że woli i stanowczości tego wojska użyje rozumnie i właściwie.

Generał Anders, jeden z największych bohaterów tej wojny, odznaczony najwyższemi orderami aljanckimi — staje na czele naszej Armji — aby swą sławą wojenną, charakterem niezłomnym, wiarą w ostateczne nasze zwycięstwo — wesprzeć polskie prawa, głos Polski uczynić jak najbardziej donośnym.

Jego nominacja skupia ostatecznie i wyraża jedność wszystkich Polaków, gotowych wszystko do końca poświęcić dla sprawy, o którą Polska pięć lat temu broń podniosła i dla której wylało się tyle najlepszej krwi polskiej.

Głos Rządu Polskiego nareszcie mówiącego to co wszyscy Polacy czują, poparty będzie odtąd całą siłą polskiego wojska, w którym wszyscy od Wodza Naczelnego do prostych żołnierzy — czują to samo, myślą to samo i tak samo postąpią.

OPINJE I ZDARZENIA



AUGUST ZAMOYSKI
wielki rzeźbiarz polski, twórca pomnika Chopina, w swojej pracowni w Rio de Janeiro *(patrz artykuł i fotografje na str. 8-9)*

BIULETYN KONGRESU POLONJI

Numer biuletynu Kongresu Polonji za miesiąc luty — doskonale i żywo redagowany daje nam obraz bardzo stanowczej działalności Kongresu dla tych celów, do których został powołany. Teksty razem zgromadzone pozwalają zdać sobie sprawę z nieustępliwości jaką Kongres w sprawie polskiej okazał — z jego wysiłków, skierowanych tam wszędzie, gdzie gotowały się decyzje w sprawie polskiej i skąd spodziewać się było można dla nas pomocy.

Oświadczenia pana Rozmarka wszystkie utrzymane są w tym duchu odważnym nieustępliwym, usprawiedliwionym wspólną wolnościową polską i amerykańską tradycją; szczególnej wagi jest oświadczenie pana Rozmarka z dnia 20 listopada 1944 r., broniące całości Polski wbrew ustępstwom pana Mikołajczyka. To oświadczenie właśnie daje miarę tego co Polonja przez swą naczelną reprezentację robić może i wskazuje kierunek jakim iść powinna.

Kongres Polonji — jest w tej chwili powołany do zadań naprawdę historycznych nietylko w obronie Polski, ale w obronie ideałów, gwarantujących pokój i wielkość Ameryki. Teksty zgromdzone w Biuletynie, świadczą, że Kongres doskonale zrozumiał tę ważną rolę i że Prezes Rozmarek umie wyrażać nieustępliwie i politycznie to, o co Kongres walczy. Jest to oczywiście tej walki dopiero początek. Jesteśmy pewni, że Kongres lepiej niż wiele innych zbiorowisk amerykańskich widząc czem grozi światu supremacja rosyjska — nie da się zrazić niczem w tej walce i że będzie jak dotąd obecny tam wszędzie, gdzie można czegoś dokonać dla obrony Polski i Ameryki.

GRUBE INTRYGI

O tem co się dzieje w Londynie, w rządzie polskim i wokół sprawy polskiej trudniej się dowiedzieć teraz w Nowym Yorku niż o zdarzeniach zaszłych na Dalekim Wschodzie, tak cenzura o te rzeczy jest troskliwa i tyle puszcza się naumyślnie fałszywych plotek, mających na celu złamanie tutejszej Polonji, przekonanie jej, że wszystko już jest skończone, że rząd polski się poddał i że tylko jeszcze "Fliegende Mikołajczyk" może nas uratować. Jedną z tych plotek, stanowiących fragment wielkiej antypolskiej intrygi — było podanie parę dni temu wiadomości, że ministrowie Kuśnierz i Sopicki reprezentujący w rządzie londyńskim Chrześcijańską Demokrację — wycofali się z gabinetu, w rezultacie czego tak zwana większość została złamana i że lada chwila Arciszewski musi ustąpić.

Plotka okazała się wyssana z palca pana Kota czy innego ludowcowego Machiavella i wiadomości urzędowe nadeszłe następnego dnia — nietylko temu zaprzeczyły, ale stwierdziły również, że Stronnictwo Chrześcijańskiej Demokracji — któremu przewodzi generał Haller zastrzega się stanowczo przeciw intrygom, mającym na celu powrót pana Mikołajczyka a co zatem idzie kapitulację.

Tym więc razem również intryga się nie udała. Pan Mikołajczyk sądził, że zdoła złamać rząd polski, odbierając mu współudział jednego ze stronnictw. Okazało się, że jest jednak sporo ludzi na emigracji pracujących bardziej pro patria — niż pro partia. Pozatem przypominamy panu Mikołjaczykowi nagle tak bardzo troskliwemu o to aby ministrowie reprezentowali głos swoich stronnictw — iż to on właśnie wbrew wyraźnym decyzjom Stronnictwa Narodowego — trzymał w swym rządzie pp. Komarnickiego i Seydę, jako reprezentantów Stronnictwa. W sytuacji jaką przeżywamy byłoby zbrodnią ze strony rządu ustępować nawet gdyby jakieś stronnictwo z niego wyszło. De Gaulle walcząc o Francję na emigracji — skupiał poprostu koło siebie tych, którzy naprawdę za tę Francję walczyli. Jest rzeczą bardzo cenną, jeżeli rząd może się wykazać poparciem głównych partji. Ale byłoby nie demokratyzmem, ale zwykłem tragicznem błażeństwem, aby w takiej jak ta chwili rząd ustępował dlatego, że panu Popielowi udało się przekabacić dwóch chadeków i przegłosować generała Hallera.



Kolonja dla dzieci polskich w Nowej Zelandji

GRABSKI W TAŃCU

O byłym prezesie Rady Narodowej prof. Stanisławie Grabskim wiadomo było oddawna, że jest on dotknięty niezrównoważeniem, które zrozumiałe w młodym wieku — u schyłku życia jest ciężką przywarą, odbierającą powagę wszstkiemu co cierpiący na ową wieczną młodość osobnik czyni i mówi. Prof. Grabski, człowiek wiedzy niezwykłej, lotności umysłu niecodziennej — zaczynał niegdyś karjerę polityczną najściślej przy boku Róży Luksemburg, jako zagorzały socjalista. Przez różne myślowe i ideowe zygzaki w rodzaju flirtów z Rosjanami, okupującemi w czasie poprzedniej wojny Lwów, poprzez broszurkę, broniącą polskich granic wschodnich, jeszcze tak niedawno wydaną w Londynie — prof. Grabski doszedł do koncepcji politycznych tylko u niego nie zdumiewających, o których dowiadujemy się z artykułu ucznia prof. Grabskiego — p. Stanisława Skrzypka, pomieszczonego w londyńskim "Dzienniku Polskim".

Okazuje się z tego artykułu, że prof. Grabski napisał broszurę pt. "Nil deperandum" a w niej zrzekł się kresów Wschodnich, których tak wymownie niedawno bronił, zachowując dla Polski (może tylko na razie) Lwów, województwo lwowskie i okręg naftowy. Ponadto prof. Grabski krytykuje bardzo nasze powstania 1830 i 1863 roku a nawet ujemnie odzywa się o Sejmie Czteroletnim — gdyż zdaniem jego, gdyby Polska spokojnie poddała się Katarzynie — uniknęłaby wojen napoleońskich i doczekała jaśniejszej przyszłości pod rządami Rosji (skąd tego prof. Grabski jest pewny?)

Te wszystke brednie są jaskrawym dowodem, że prof. Grabski cierpi na jakieś satyrjazis umysłowe, że podniecony przez jazdę do Moskwy chce koniecznie dokonać historcznych przewrotów w stylu pp. Mikołajczyka i Pruszyńskiego.

Biedny prof. Grabski. Tańczy jak Salome przed Stalinem, wabi go, kusi, tylko że Stalin ani na niego nie patrzy i niczego dla jego pięknych oczu nie zrobi. Ani nawet dla pana Mikołajczyka.

ZGON ALEKSEGO TOŁSTOJA

Umarł w Moskwie Aleksy Tołstoj, poczytywany za największego pisarza Rosji Sowieckiej — niewątpliwie też jeden z najpoważniejszych na tej straszliwej pustyni intelektualnej, którą stała się Rosja pod rządami bolszewików. Sukces swój — a może i szansę przeżycia zawdzięczał Tołstoj temu przypadkowi, że będąc z tradycji i instynktu imperjalistą wielkorosyjskim wystąpił ze swemi dziełami w mmencie, gdy ten imperjalizm stał się niejako urzędową tendencją sowiecką i potrzebował pisarzy, którzy by go głosili. W rewolucyjnym okresie sowietyzmu "Piotr Wielki" Tołstoja łatwo mógłby uchodzić za dzieło właśnie ducha kontrrewolucyjnego, w momencie gdy się ukazał — stał się swgo rodzaju "Panem Tadeuzem" nowego imperjalizmu, źródłem nowego mitu, którego łaknęły masy który, jak dziś widzimy był niezbędnie potrzebny dla dalekich zamysłów Stalina. W tym też sensie rola Aleksego Tołstoja netylko w życiu literackim Rosji ale w jej historycznej ewolucji była olbrzymia. Kto chce wiedzieć czem jest dzisiejsza Rosja, z czego wychodzi, do czego tęskni — nie może nie znać "Piotra Wielkiego" Tołstoja. Jeśli chodzi zato o czysto artystyczne wartości "Piotr Wielki" nie może być absolutni przyrównany do szczytowych dzieł wielkiej prozy rosyjskiej. Będąc prawdziwą rekonstrukcją epoki, malowidłem szerokiem i kolorowym, jest dziełem pisarsko passeistycznem, psychologicznie szkicowem; Tołstoj stał się największym pisarzem Sowieckiej Rosji, ponieważ niema ona już lepszych.

LANDOWSKA I RODZIŃSKI

Jednym z najpiękniejszych wieczorów muzycznych tego sezonu był koncert orkiestry Filharmonji w Carnegie Hall, na którym Wanda Landowska grała z orkiestrą pod dyrekcją Artura Rodzińskiego. Koncert Mozarta na fortepianie i na klawecynie koncert Haydna.

Był to tryumf sztuki najwyższej, muzyki najbardziej czystej wykonanej z najgłębszą zarazem wiedzą i natchnieniem. Rodziński, którego największemi tryumfami byli zwykle Strauss, Ravel Szostakowicz zapisze te koncerty z Wandą Landowską do swoich najdoskonalszych osiągnięć. Wanda, której stanowisko w Stanach jest dzisiaj tak wyjątkowe, że bodaj tylko z prestiżem Toscaniniego da się porównać — dała nam przystęp do samej, zdawałoby się, istoty wielkiej sztuki tak że wydała się nam ona zarazem jak nigdy wielka i jak nigdy zrozumiała. Była to piękna w tej właśnie chwili, chwila dla Polaków, kiedy Wanda pełna czułych wspomnień warszawianka i **Artur** Rodziński, wierny lwowiak, wziąwszy się za ręce — dziękowali publiczności za owację, znczącą tryumf nietylko z nzwiska ale i z głębi serca polskich artystów.

ARTYŚCI URATOWANI

Wieści ndchodzące o losie artystów polskich, którzy znjdowali się w kraju i zagranicą pod okupacją niemiecką, stwierdzają, że we Francji odnalazło się trzech wybitnych kompozytorów polskich: Antoni Szałowski (jest teraz w Uriage Isere), Michał Spisak (w Voiren) i Alfred Gradstein (w Auvergne). Ponadto brat znanej artystki teatru Narodowego p. Jad-

wigi Zaklickiej-Trzcińskiej, przebywający w Stanach Zjednoczonych otrzymał za pośrednictwem pani Elny Gistedt-Kiltynowiczowej wiadomość, że zarówno pani Zaklicka jak mąż jej b. dyrektor teatru Narodowego a ostatnio Letniego — Teofil Trzciński bawią w Krakowie.

SUKCESY MAŁCUŻYŃSKIEGO

Witold Małcużyński odbywa obecnie tournee koncertowe po Stanach grając ze wszystkiemi wielkiemi orkiestrami symfonicznymi pod batutą Kusewickiego, Ormandy'ego, Monteux.

Wszędzie towarzyszy mu sukces pełny i zasłużony, którego dowodem są m. in. takie oto głosy prasy bostońskiej.

Cyrus Durgin (Boston Daily Globe) stwierdza: "Mr. Małcużyński's performance of Chopin Concerto was truly superb at technic, poetry and recreative imagination. The style was broad yet precise, the articulation clear, and piano and orchestral part were as nicely adjusted, as they could be. Those in yesterday's audience will not forget the dynamic effect of the fast movements or the mounting and enveloping reverie of the larghetto... Małcużyński's technic is at service of his musicanship..."

Rudolph Elie (The Boston Herald) pisze w swoim sprawozdaniu:

He is distinguished musical personality... He realized Chopin's F minor Concerto as it is seldom realized... Mr. Małcużyński's great poise, his utter calirity of line, his poetical yet virile phrasing and his ability to let us hear every note without a single pedal smudge, must be considered a very real personal triumph.

Recenzent **"The Chrstian Science Monitor"**, pisze:

..."Mr. Małcużyński's performance was exceptionally fine. He expressed both the fire and the poetry of Chopin. He has a tone of liquid beauty, his phrasing is sensitive. His legato smooth, his shading delicate. His technique is adequtae and he has power enough for the bravura passages... Mr. Małcużyński received an ovation.

BARDZO POTRZEBNE KSIĄŻKI

Jak się dowiadujemy — wychodzą w Londynie w najbliższym czasie dwie książki w każdej polskiej bibljotece potrzebne — a teraz, gdy wiadomo już, że przyjdzie nam długo czekać na powrót do Polski — niezbędne i upragnione. Te książki — to dwa grube tomy, zawierające antologję polskiej noweli i polskiej poezji. Czekamy niecierpliwie na ich nadejście, gdyż każdemu z nas przydadzą się one, pojąc nas mową polską, od której żywych źródeł tak dawno jesteśmy oddaleni. Słowacki po trzech latach emigracji w liście do matki prosił ją o przysłanie "Jerozolimy Wyzwolonej" w przekładzie Piotra Kochanowskiego, gdyż czuł że mu polszczyzna psuje się. Cóż dopiero mówić o nas.